

### Wyprawa

Dopiero gdy zaczął służyć do mszy, został dopuszczony do tajemnic, które wcześniej bez jego udziału rodziły się i pozostawały w kręgu najstarszych ministrantów w ukryciu na wysokościach wieży kościelnej, gdzie nikt nie mógł podsłuchiwać. Stając się członkiem Piątki został wtajemniczony w plany wyprawy na wyspę leżącą poza zasięgiem Tajnego Układu, który po drugiej Wielkiej Wojnie objął złowieszczym uściskiem Galindię. Olo pomyślał, że może ich planowana wyprawa to jest właśnie początek drogi na Wyspę Wiecznych Snów i dość szybko zdecydował się na udział w podróży. Szykowali potem już z jego udziałem rzeczy potrzebne na wyprawę, czekali sprzyjającego momentu i zbierali niezbędne zapasy. Przez całą zimę spotykali się na wieży kościelnej albo w bunkrze i przygotowywali do wyprawy. Z uwagą, kłócąc się nieraz do późna, studiowali wyrysowaną przez dziadka Ado czerwonym ołówkiem trasę rojącą się od zwierząt, porośniętą wielką ilością drzew, mieniającą się wszystkimi kolorami i wyłożoną promieniującymi wkoło różnymi kamieniami. Trasa była opisana czarnym atramentem na podbitej płótnem przedwojennej mapie w tak zawily i zagadkowy sposób, że zdali sobie sprawę z tego, iż będą musieli wciąż zdawać się na łut szczęścia, nie wiedząc do ostatniej chwili, czy będą znajdować się na dobrej drodze. Pomimo tego, że wiedzieli, iż nikt tam z żywych jeszcze nie dotarł, postanowili wybrać się na Wyspę Wiecznych Snów. Przed wyprawą złożyli na wieży kościelnej przysięgę.

Wiele razy zastanawiali się nad tym, czym wyruszyć w daleką i niebezpieczną drogę. W czasie letnich napięć, spowodowanych nasilającymi się z tygodnia na tydzień poszukiwaniami stonki ziemniaczanej, przyszedł im z pomocą przypadek. Przez kilka dni nad okolicą szalała niespotykana dotąd wichura, która z północnych stron świata przywlokła ze sobą niewielkiego owada przynoszącego nieszczęście. Gdy wichura się uspokoiła i znów spotkali się przy swoim bunkrze aby kontynuować przygotowania, znaleźli nieopodal przygnaną przez wiatry tuż nad brzeg rzeki, wielką stodołę, zamienioną w bezładną stertę belek i desek. Uznali to za dobry znak dany im przez czuwającą nad nimi opatrność i przystąpili natychmiast do budowy na brzegu Bachy przestronnej, ogrodzonej drewnianymi sztachetami z wszystkich stron, zbitej z grubych belek platformy, z dziobem z przodu, z dachem i kominem pośrodku. Po kilku dniach zgodnej pracy mieli własny, do tego nadto pływający, dom.

Pojazd nie był jeszcze całkowicie gotowy, lecz oni musieli natychmiast wyruszyć w drogę, gdy spostrzegli, jak na horyzoncie z pobliskich wzgórz zaczął sunąć w stronę rzeczki Bachy, którą zamierzali dostać się na największe wody świata, wielki jak chata wóz zaprzężony w szybkobieżne woły. Domyślili się, że to bauer Frydrych wysłał swoich parobków na poszukiwanie swojej stodoły, niedawno porwanej przez wichurę. Nikt na ich szczęście, poza poszkodowanym Frydrychem, nie dostrzegł ich odpłynięcia, gdyż cała wieś była sparaliżowana trzęsieniem sumień i ziemi, jakie wywołało znalezienie na polu Pajera przez ich koleżankę, Mańkę Malińską, siedliska złowieszczego owada - stonki ziemniaczanej. Gdy więc we wsi dostrzeżono w końcu ich zniknięcie, byli już daleko od domu.

Pięcioletnia wojna zmieniła układ i przebieg wyrysowanych kiedyś na mapie, wydawało by się, że na zawsze, granic pomiędzy klatkami państw. Patrząc na mapę wydawali się niewolnikami zamkniętymi w nowej klatce. Chcieli wyrwać się z niechcianej przez większość ludzi klatki, do której nie tak dawno wrzuciła ich Wielka Wojna.

Niewiele brakowało, aby niespodziewany pościg pachołków Frydrycha przeszkodził im w zabraniu na drogę garstki ich przyjaciół. W ostatniej chwili, już w momencie odbijania od brzegu Bachy, wskakiwali na pokład ich Arki Snów, jak nazwali swoją łódź, ulubiony osiołek Lulucha Pegaz, koza Gena Andromeda, pies Rycha Perseusz, kogut Żoza Cefeusz z pięcioma kurami Gracją, Mają, Selene, Sybillą i Scyllą. Ukochana pszczołka Olo, Hebe, którą podarował mu przed śmiercią dziadek Ado, wraz z całym

rojem swoich przyjaciółek, znanych z imienia tylko między sobą, nadleciała i osiadła w kominie znajdującym się pośrodku ich wielkiej łodzi, wystającym nad ocieniającym pokład dachem, dopiero kiedy byli już na środku rzeki. To właśnie dzięki Hebe i jej przyjaciółkom, parobkowie Frydrycha na brzegu nie dopadli ruszających w drogę, gdyż kiedy dostrzegli pościg, rój pszczoł na czele z Hebe, natychmiast pojawił się na rozkaz Olo tuż nad wzgórzem, z którego zjeżdżali ścigający i zaatakował ich i woły, powodując popłoch wśród ścigających i opóźnienie pościgu.

Kiedys opowiadał mu dziadek :

-Dawno temu Wielki Duch w ślad za Alfem, od którego nie było żadnych wiadomości, posłał elfa Alfonda z łąki gwiazd na ziarno piasku jakim w kosmosie jest Ziemia, w kosmicznej dorożce ciągniętej przez dwa ogiery, Pegaza i Orlika. Płynęli jak niegdyś Alf przez gęstą kosmiczną zupę pełną gwiazd i planet, przedzierali się przez coraz większe czarne dziury, dopóki nie utknęli ze zmęczenia na środku wielkiego oceanu, gdzie założyli Lemurię. Gdyby ktoś patrzył na ich zbliżanie się do Ziemi, miałby przed sobą widok słońca przykrytego nagle przez wielką skrzydlatą chmurę, która skądś nadleciała i pojawiła się na bezchmurnym dotąd niebie. Przybrała kształt siedmiokolorowego półkola tęczy i niczym tęczyowy dysk osiadła na oceanie jako wyspa Lemuria z siedmioma tajemnymi kręgami.

Podczas spotkań na wieży kościelnej i w bunkrze uchwalili, że dowodził będzie wyprawą Luluch, najstarszy z nich, a ponadto najbardziej stworzony do panowania nad innymi, gdyż był gwiazdzistym Lwem. Jego czoło skryte w cieniu bujnej grzywy, przedzielone stanowczym wykrzyknikiem pośrodku nie znoszącym sprzeciwu, a także ruchliwe, mocno wszystko dzierżąca ręce, nigdy nie ustawały w walce z przeciwnościami, jakie pojawiły się od samego początku wyprawy, a w chwilach najtrudniejszych nabierały jakiegoś nadludzkiego wymiaru. Luluch na ich oczach, od pierwszych dni wyprawy, wciąż rósł, właśnie od ciągłego trudu czuwania nad wszystkim oraz podejmowania decyzji i wydawania rozkazów. Od samego początku Luluch ustanowił na statku dyżury i podział służb pomiędzy całą załogę, sam czuwając i mając pieczę nad wszystkim z gniazda dowódcy, okalającego na wysokości kilku metrów komin, stanowiący zarazem maszt pojazdu, z którego widać było wszystkie miejsca na łajbie. Na zmianę jeden z żeglarzy, pod okiem i rozkazami Lulucha albo jego zastępcy, czuwał przy sterze.

Każdy z nich uczył się także dowodzić „Arką snów” i zastępować na wypadek potrzeby Lulucha oraz innych kolegów w wykonywaniu przydzielonych im zadań. Jeden albo dwaj, w zależności od zmieniających się warunków żeglugi i potrzeb czuwali i manipulowali przy żaglach. Jeden z nich, inny każdego dnia, pełnił dyżur jako kuchcik i opiekun zwierząt. Ktoś zastępował dowódcę, gdy ten odpoczywał. Jeden lub dwaj pozostawali w rezerwie, gdy nie było pilnych potrzeb, lub niespodziewanie pojawiających się w danej chwili zadań.

Rezerwowi obserwowali przez lunety okolicę, czytali książki i mapy ziemi oraz nieba, grali w cymbergaja, monety, warcaby albo chińczyka, zabawiali zwierzęta lub spali.

Pewnej nocy patrząc na niebo, Weronika ujrzała w swoim oknie początek ich wyprawy. Po raz pierwszy dostrzegła ich na niebie, gdy w okolicach gwiazdozbioru Węża pojawiła się Arka Snów, którą Piątka ruszyła ongiś z Wieldządza, porwana nurtem Bachy w kierunku Płużnicy. Obserwowała jak wiele tygodni błakali się na początku wyprawy, po peryferiach wielkiego i pogmatwanego Błędowna. Gdy podpłynęli do Pływaczewa szło im już znacznie lepiej, ale w Pluskowęsach znowu utknęli na jakiś czas, dopóki nie zaczęły się Zapluskowęsy. Dopiero jednak od Czystochlebia ich wyprawa nabrała rozmachu. Wymawiając znamienne nazwy miejscowości, na poplątanej miejscami i gdzieniegdzie prześwieconej albo niedoświetlonej, a w niektórych miejscach wymazanej taśmą swojej pamięci, zaczęła odszukiwać i odtwarzać, utrwalony kiedyś moment ich wypłynięcia. Nocami, od tej pory obserwowała ich często przez okno. Wyruszyli w dniu, kiedy po kilku pomyślnych po drugiej wielkiej wojnie latach, wydarzyła się katastrofa. Dokładnie pamiętała, ten sądny w końcu dzień. Była to któraś z rzędu sobota, wyznaczona przez powiat na poszukiwanie stonki ziemniaczanej. Brygada poszukiwaczy, po jednej wyznaczonej z każdej rodziny osobie, obchodziła wszystkie pola ziemniaczane w całej wsi, przeglądając dokładnie krzak

po krzaku, pomagając sobie kijami, w poszukiwaniu imperialistycznych zrzutów, w postaci niewielkich owadów w żółto-czarne paski na skrzydłach, albo ich czerwonych gąsienic, garbatych jak limuzyny „Warszawa”. Dotąd wieś żyła sobie spokojnie, i coraz bardziej dostatnio, w cieniu wielkiego świata uprawiając ziemię, hodując bydło i świnie, czasem sobie trochę popijając, czy tańcząc w sali Tabora, w cieniu wielkiej polityki. Nagle jeden, drobny zdawało by się przypadek, odmienił los całej wsi. Huknęło tamtej sądnej soboty po okolicy jak z armaty, że na polu Czeška Pajera znaleźli stonkę. Może gdyby to znalazł jaki dorosły, to by zamilczał, najwyżej zapamiętał by miejsce w ziemniakach i kazał Cześkowi po cichu coś z tym zrobić, i może byłoby nadal we wsi spokojnie. Ale stonkę znalazło dziecko, w dodatku najlepsza uczennica, Mania Malińska i od razu zrobiła się z tego bomba na cały powiat, a potem poprzez radio na cały kraj. Zaznaczyli miejsce kijem z czerwoną chorągiewką. Sołtys zawiadomił gminę, a gmina powiat. Zjechało się na pole kilkanaście motocykli i samochodów oraz traktorów. Zdeptali łan ziemniaków i czymś spryskali. Po wsi zaczęli biegać dziennikarze z gazet i radia, i rozpytywać... Potem bezpieka zaczęła przesłuchania. Pajera i sołtysa posadzili na kilka dni dla dokonania dokładniejszych i głębszych przesłuchań.

- Jak na wiosnę pochowali Stalina, to już tego samego lata, nawet stonka ziemniaczana, odważnie zaczęła wychodzić na pola, a co dopiero inne sprawy? – skomentował Kazik Przybysz całe to wydarzenie. Tego samego lata uciekli chłopcy – za granicę, jak szeptano we wsi, a jesienią Gomułka przewrócił świat do góry nogami. Najpierw w ciągu kilku dni rozleciała się spółdzielnia produkcyjna, założona nie bez trudu na resztówce. – Chcemy z powrotem naszą ziemię!- pokrzykiwali na zebraniu chłopcy. Prezes Bartyś tracił przez to posadę, więc bronił się dzielnie przy pomocy księgowej, wyliczającej ich nie dotychczasowe, lecz przyszłe korzyści, ale chłopcy byli nieugięci i postawili na swoim.

W ten sądny dzień, w dodatku wypłynęło Bachą w świat pięciu chłopców. Tylko Weronika przypadkowo, tylko dlatego, że w tym momencie podeszła do okna, widziała początek ich wyprawy. Najpierw przez cały dzień było zamieszanie spowodowane znalezieniem stonki i nikt do wieczora nie zauważył zniknięcia chłopców. Dopiero gdy nie wrócili na noc do domów, zaczęły się poszukiwania. Ludzie dopiero wtedy, kiedy okazało się, że zniknęli wszyscy naraz, zaczęli sobie przypominać i kojarzyć różne fakty, świadczące o tym, że chłopcy coś szykowali.

Przez jakiś czas krążyły wieści, że już ich znaleziono, tylko są w powiecie, czy nawet w województwie, na przesłuchaniach. Lada dzień chłopcy mieli znaleźć się z powrotem we wsi. Zaczęły upływać najpierw tygodnie, potem miesiące, upłynął rok, a chłopcy nie wracali do wsi. Zaczęto po wsi szeptać, że ich znaleziono, ale za późno, gdy już za dużo zobaczyli. Stało się z nimi coś złego gdyż na przesłuchaniach okazało się, że - za dużo wiedzieli i ich załatwili, jak niosła poczta pantoflowa. Pamięć o nich zaczęła przycichać, aż w końcu na cmentarzu obok kościoła, pod wspólnym krzyżem, stanął pomnik z ich nazwiskami, chociaż ich ciał nigdy nie odnaleziono. Przed pomnikiem przystawali najczęściej ludzie młodzi, i albo zaczynali rozprawiać, uczenie i mądrze, różnie tłumacząc ich zniknięcie, albo popadali w zamyślenie i zadumę. Starzejący się z roku na rok ich rówieśnicy, czasami przystawali przed pomnikiem, aby przez chwilę powspominać tamte dni i kolegów. Pesymiści im współczuli myśląc, że zginęli. Optymiści zazdrościli im uważając, że tylko Piątce udało się to, czego nikomu dotąd się nie udało – zniknąć na zawsze, odpływając stąd romantycznie, tajemniczo i nie zostawiając śladu...

Kiedy wszyscy we wsi zapomnieli już o ich wyprawie, a wielu rówieśników już nie żyło albo zdążyło wyjechać, pojawił się pewnego dnia, kuśtykając po okolicy i zaglądając we wszystkie kąty oraz rozpytując ludzi o sprawy sprzed kilkadziesiąt lat, mężczyzna, którego wygląd niczego nie mówił czterdziestolatkom i młodszym. Jednak starsi od niego i równi mu mniej więcej wiekiem, którzy jeszcze żyli, zaczynali zastanawiać się nad czymś i coś sobie jakby przypominać z wymazanej już dawno przeszłości, przyglądając mu się i przysłuchując, jak pyta o to, lub tamto. Do tej pory nic ich nie skłaniało do wspomnień, poza odbywającymi się czasami pogrzebami krewnych, bądź znajomych. Przybycie tego człowieka zaczynało przywracać pamięć dawno minionych i nie mających już dalszej części,

pourywanych wątków i nitek, prowadzących do wielu spraw. Przybyły najczęściej pojawiał się przed pomnikiem chłopców, którzy niemal pół wieku temu odpłynęli Bachą w świat i czasami kogoś o coś pytał w taki sposób, że wzbudzało to wspomnienia i zmuszało do głębokiego zastanowienia. Błądził też po dolinie, którą płynęła kiedyś Bacha. Kiedyś poprosił kościelnego, aby pozwolił mu wejść na wieżę kościoła. Chodził po rozbrojonych z szyn i jakby martwych, nasypach torów, którymi jeździła kiedyś bana, zachodził do kościołów w Płużnicy i Wieldządzu, gdzie dynamicznie rozwijał się klub coraz to nowych bajerów i zagłuszającej wszystko rozrywki. Wreszcie rozpoznała go Weronika, stojąca w oknie.

– Przecież to Olo ! - zawołała.

Do dnia, w którym Weronika, w noc sylwestrową dwutysięcznego roku na rok dwutysięczny pierwszy zobaczyła ich wśród gwiazd, minęło od czasu ich wypłynięcia Bachą prawie pół wieku. Odtąd nocami obserwowała na niebie dzieje wyprawy Piątki na Wyspę Snów. Przez cały następny dzień w myślach analizowała przebytą przez nich trasę i próbowała przewidywać jej przebieg w ciągu najbliższej doby, i z niecierpliwością oczekiwała następnej nocy. Gdy nocą chmury - albo mgła - zasłaniały jej niebo, czuła się, jakby była oderwana od najważniejszych wydarzeń, rozgrywających się na świecie. Myślała przy tym o niedługiej, własnej wyprawie na Wyspę Wiecznych Snów, gdzie spodziewała się zastać jeszcze chłopców.

W niedługi czas potem, gdy wrócił Olo, w odstępach kilkumiesięcznych wrócili kolejni starcy, w których rozpoznano Gena, Rycha i na końcu Lulucha. Oni siebie nie rozpoznawali i unikali się. Każdy z nich zakupił nad jeziorem kawałek działki rekreacyjnej i postawił domek. Łowili ryby, każdy z własnej łodzi i, w innej części jeziora i wieczorami każdy z osobna oglądał inne gwiazdozbiory, wspominając wyprawę w świat i nieżyjącego Żoza .

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Alfeusz, dodano 09.03.2012 08:54

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).